



HAWAJSKA MIŁOŚĆ #1

LILLY LUCAS

Może
to właśnie

MIŁOŚĆ



Przełożyła ANNA WZIĄTEK

JAG
UAR

Tytuł oryginału: *This Could Be Love*

Copyright © 2024 by Knaur Verlag. An imprint of Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co. KG, Munich

Projekt okładki: FAVORITBUERO, München

Fotografie wykorzystane na okładce: © Evolworks, © nereia, © Net Vector / Shutterstock.com

Copyright © for the Polish translation by Anna Wziętek

Redakcja: Justyna Techmańska

Korekta: Renata Kuk

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Wydawczyni: Natalia Sikora

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz

Promotorki: Emilia Mazur, Aleksandra Sękowska

Copyright for the Polish edition © 2025 by Wydawnictwo Jaguar

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-68383-11-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2025

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Hylte 70/1,8.

*Dla Levi,
mojego małego travel buddy.
Jestem taka wdzięczna, że mogę pokazywać Ci świat.*

Playlista

- The Green – *Love I*
J Boog – *Let's Do It Again*
Common Kings – *Wade In Your Water*
Landon McNamara – *Loss for Words*
Jack Johnson – *Breakdown*
Dispatch – *Only the Wild Ones*
Edward Sharpe & The Magnetic Zeros – *Home*
Xavier Rudd – *Follow the Sun*
Jack Johnson – *Do You Remember*
George Ezra – *Hold My Girl*
Fleetwood Mac – *Dreams (2004)*
Israel Kamakawiwo'ole – *Over the Rainbow*
Mark Keali'i Ho'omalulu – *He Mele No Lilo*
Good Life feat. Elderbrook – *Good Life*

Cudowne dziecko z Niemiec zdobywa Wimbledon

Londyn. Szesnastoletnia Louisa Herzog-Riggs robi furorę na Wimbledonie. Córka legend tenisa Timothy'ego Riggsa i Sabine Herzog, jako druga najmłodsza uczestniczka w dziejach turnieju, pokonała dwukrotną zwyciężczynię Wielkiego Szlema Paolę Venturę w trzech setach i dotarła do jednej ósmej finału.

Herzog-Riggs kontynuuje marsz triumfalny

Nowy Jork. Po sensacyjnym zwycięstwie nad rozstawioną z numerem ósmym Mileną Havlíčkovą z Czech, Louisa Herzog-Riggs (16) awansowała podczas debiutu w US Open do drugiej rundy.

„Nie chcę być mierzona miarą sukcesu rodziców”

Monachium. Louisa Herzog-Riggs (17) o pierwszym roku udziału w turniejach, swojej idolce Serenie Williams i o tym, dlaczego nie chce być porównywana do sławnej matki.

Debiut w pierwszej dziesiątce

Paryż. Louisa Herzog-Riggs nadal podąża śladami swojej matki Sabine Herzog. Pomimo ćwierćfinałowej porażki z Chinką Li Jiayu, dziewiętnastolatka od poniedziałku znajdzie się po raz pierwszy w dziesiątce najlepszych zawodniczek na świecie.

„Dokonałyby tego nawet bez swojego nazwiska”

Monachium. Timothy Riggs o amerykańskim tenisie męskim, zamiłowaniu do niemieckiej kuchni i bezprecedensowej karierze swojej córki Louisy (20).

Czy Louisa Herzog-Riggs zostanie nowym numerem 1 w rankingu światowym?

Nowy Jork. Blanca Diaz nie weźmie udziału w tegorocznym US Open. Pierwsza rakieta świata musiała odwołać swój udział z powodu infekcji koronawirusem. Louisa Herzog-Riggs, która pojechała na to wydarzenie jako druga rakieta świata, ma teraz świetną okazję, aby zdetronizować hiszpańską tenisistkę i wreszcie pójść w ślady swojej matki Sabine Herzog.

Kontuzja wyklucza z gry Herzog-Riggs

Nowy Jork. Louisa Herzog-Riggs odpadła! Dwudziestojedynolatka w dramatycznym stylu straciła szansę na miejsce w finale US Open. Musiała wycofać się z powodu kontuzji przy stanie 7:6 (10:8), 5:2 przeciwko rozstawionej z numerem czwartym Szwajcarce Larze Gisin.

Po skreczowanym półfinale Herzog-Riggs czeka długa przerwa

Berlin. Louisa Herzog-Riggs (21) po emocjonującym meczu ze Szwajcarką Larą Gisin w piątek skręciła kostkę i nie była w stanie kontynuować półfinału US Open. Niemkę czeka teraz długa przerwa. Marzenie o trafieniu na szczyt rankingu znów się oddaliło.

Rozdział 1

Zakłuło mnie w karku, gdy zdejmowałam czerwoną torbę tenisową z taśmy bagażowej. Wciąż czułam w kościach ostatni trening. Albo zemściło się na mnie to, że zapomniałam poduszki podróżnej i podczas lotu z San Francisco do Honolulu spałam z głową opartą na ręce. Zarzuciłam torbę na ramię, chwyciłam walizkę i ruszyłam z hali bagażowej w kierunku strefy przylotów. Umówiłam się z Kay, że tam się spotkamy. Rozejrzałam się w tłumie, ale nigdzie nie dostrzegłam swojej matki chrzestnej. Dziwne. Trudno było nie zauważyć mierzącej prawie metr dziewięćdziesiąt Kay Diamond. Co więcej, była uosobieniem punktualności. Gdy po raz kolejny przeskanowałam wzrokiem halę przylotów, rzuciłam torbę na podłogę i wyjęłam smartfona z plecaka. Żadnych nowych wiadomości, żadnych nieodebranych połączeń. To było jeszcze dziwniejsze. Właśnie miałam schować telefon, gdy przypomniałam sobie, że nie aktywowałam karty eSIM, więc nie mam danych mobilnych. Bezwłocznie załogowałam się do lotniskowej sieci WLAN i w ciągu kilku sekund przyszły wszystkie wiadomości. Na rodzinnym WhatsAppie rodzice życzyli mi bezpiecznego lotu, mój trener Milan wysłał mi zdjęcie swoich bliźniąt, które urodziły się kilka dni temu, a Helena, PR menedżerka naszej rodziny, przekazała mi prośbę o wywiad z magazynu „Stern”. Miałam też wiadomość od Kay.

Przepraszam, Lou! Nie zdążę dotrzeć
po ciebie na czas. Odbierze cię Gabe.
Wypatruj wysokiego faceta 😊

Zmarszczyłam brwi i przeczytałam wiadomość ponownie. Spóźnienia nie były w stylu Kay. I kim w ogóle jest ten Gabe? Jej pracownikiem? Nigdy wcześniej nie słyszałam tego imienia.

– Louisa?

Oderwałam wzrok od smartfona i popatrzyłam prosto w twarz wysokiego mężczyzny. Musiał być w wieku Kay, pod pięćdziesiątkę. Przypominał mi Jasona Momoę, mimo że miał krótsze włosy i brodę. Spojrzenie miał raczej łagodne niż nagłące. Był ubrany w żółtą koszulkę ze spranym nadrukiem, szorty i klapki.

– Cześć, jestem Gabe. – Uniósł dłoń z dobrodusznym uśmiechem rannego ptaszka. – Kay prosiła, żebym cię odebrał.

– Wszystko z nią w porządku? – zapytałam, zauważając nutę niepokoju w swoim głosie.

– Absolutnie tak. Po prostu coś jej wypadło. – Uśmiechnął się zrelaksowany i sięgnął po moją walizkę. Zauważyłam przy tym tatuaż pokrywający większą część jego przedramienia. – Wróci, zanim dotrzemy do Pūpūkea.

Pūpūkea. Miejsce, które miało być moim domem przez następne sześć tygodni. W ustach Gabe'a słowo to brzmiało dużo melodyjniej niż w moich. To był pomysł matki, aby moje przygotowania do powrotu odbyły się w szkole tenisowej Kay zamiast w domu w Monachium.

– Potrzebna ci zmiana otoczenia – stwierdziła, gdy po raz kolejny wróciłam z treningu sfrustrowana, ponieważ wciąż nie udało mi się odzyskać dawnej formy. Zeszłoroczna kontuzja osłabiła

mnie nie tylko fizycznie, mocno nadszarpnęła również moje ego. Wciąż zmagalam się z faktem, że straciłam szansę na zostanie numerem jeden na świecie. Pójsz wreszcie w ślady matki. Sabine Herzog. *The Duchess*, jak tytułowały ją niegdyś międzynarodowe media sportowe. Zajmowała czołowe miejsce światowego rankingu kobiet przez 175 tygodni z rzędu.

– Nie stać mnie teraz na wakacje, mammo. US Open już za dwa miesiące, a ja gram na poziomie szympansa, któremu dano do łapy raketę tenisową.

– To nieprawda – odpowiedziała z uśmiechem, ale jednocześnie z naganą w głosie. – A tak w ogóle to wcale nie myślałam o wakacjach. Przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu.

Dwa tygodnie później szłam przez halę przylotów międzynarodowego lotniska w Honolulu za wesoło pogwizdującym facetem, mijając turystów witanych tradycyjnym *aloha* i naszyjnikami z kolorowych kwiatów. Po wyjściu z budynku uderzyło mnie gorące, wilgotne powietrze. Dało się wytrzymać wyłącznie dzięki lekkiej bryzie, w której wyczułam też zapach oceanu. Lotnisko było nieopodal wybrzeża – podobnie jak chyba wszystko na tak małej wyspie, jaką jest Oahu.

Gabe skierował się do jeepa wranglera, który pod cienką warstwą kurzu był czerwony. Na czarnym, składanym dachu uwieczniło się nie tylko morskie powietrze w postaci kryształków soli, ale i kilka mew. Zanim Gabe otworzył bagażnik i schował moje rzeczy, zdążyłam rzucić okiem na tablicę rejestracyjną z napisem „The Aloha State”.

Gdy usiadłam na miejscu pasażera, zwróciłam uwagę na drewnianą zawieszkę na przetartym rzemyku, zwisającą z lusterka wstecznego. Dłoń z wyciągniętymi kciukiem i małym palcem.

– Sorry – mruknął, przerzucając pustą plastikową butelkę na tylne siedzenie. – Nie spodziewałem się pasażerów.

Kay musiała poprosić go o odebranie mnie w ostatniej chwili, a to sprowadziło mnie z powrotem do pytania, co takiego ważnego się wydarzyło.

– Żaden problem – zapewniłam go i zapięłam pas. Piosenka w radiu wybrzmiała, a prezenter życzył wszystkim dobrego początku tygodnia pracy. Fakt, podczas gdy tu, na Hawajach, poniedziałek dopiero się zaczynał, w Niemczech dobiegał już końca. Dwanaście godzin różnicy czasu, przypominałam sobie i pomyślałam o mamie, która przypuszczalnie siedziała w piżamie na kanapie i z kieliszkiem wina w dłoni oglądała po raz enty *Virgin River*. Po zakończeniu kariery praktycznie wycofała się z życia publicznego. W przeciwieństwie do ojca, który podróżował po świecie dla kanału sportowego ESPN jako komentator wielkich turniejów tenisowych. Do początku przyszłego tygodnia był na Wimbledonie. Gdyby nie moja kontuzja, też bym tam była i na „świętej trawie” grała o jedno z najbardziej pożądanых trofeów w świecie tenisa. Wezbrała we mnie tęsknota wraz ze szczyptą FOMO i poczułam wdzięczność do Gabe’a, że dokładnie w tym momencie rozpoczął pogawędkę.

– Jak ci minął lot?

– W porządku. Większość przespałam.

Kark przypomniiał o sobie bólem, jakby czekając na odpowiedni sygnał. Pokręciłam szyją i usłyszałam trzask w kręgosłupie.

– Leciłaś przez San Francisco, prawda? – spytał, poprawiając okulary marki Ray-Ban Clubmaster.

Przez chwilę się dziwiłam, że jest tak dobrze poinformowany.

– Kay o tym wspomniała – wyjaśnił, gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu lotniska.

– Pracujesz dla niej?

– Och... nie. – Roześmiał się, jakby to była najbardziej absurdalna rzecz na świecie. – Jesteśmy przyjaciółmi. Ale ty i ja

też będziemy się często widywać w najbliższej przyszłości. Prosiła mnie, abym zajął się twoją fizjoterapią.

– Jesteś fizjoterapeutą?

Nie umiałam ukryć zdziwienia. Może dlatego, że Gabe wyglądał bardziej tak, jakby bliższy był mu leżak niż łóżko zabiegowe.

– Mam praktykę w Hale'iwa – przytaknął. Musiał zdać sobie sprawę, że niewiele mi to mówi, ponieważ dodał: – To jakieś dziesięć minut od Pūpūkea. Są tam świetne fale, jeśli surfujesz.

Pokręciłam głową.

– A ty? – spytałam, ryzykując, że się ośmieszę. Tutaj pewnie noworodki wyslizgiwały się z łona matek na deskach surfingowych.

– Nie, już nie – mruknął i przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że z jego głosu wyparowała cała lekkość. Może mi się tylko wydawało, bo już w następnej chwili spytał, czy jestem głodna.

– Możemy zatrzymać się po drodze, żebyś zjadła śniadanie.

– Kawa by mi się przydała.

– Da się zrobić – stwierdził z jednym ze swoich zrelaksowanych uśmiechów.

Przez kolejny kwadrans niewiele mówiliśmy, ponieważ wokół lotniska panował duży ruch i Gabe koncentrował się na prowadzeniu. Panorama Honolulu w lusterku bocznym stopniowo malała, aż wreszcie znikła. Krajobraz otwierał się przed nami jak książka obrazkowa. Ni stąd, ni zowąd wystrzeliły gigantyczne góry pokryte tak gęstą roślinnością, że wyglądały jak zasnutę zielonym aksamitem. Po skalnych ścianach spływały srebrne kaskady wodospadów, a po obu stronach drogi ciągnął się bujny las deszczowy, spowity mgłą w porannym świetle. Zafascynowana przykleiłam nos do szyby.

– Pierwszy raz na O'ahu?

Skinęłam głową, a on uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Mimo że się tu urodziłem, to wciąż się nie przyzwyczaiłem do tego, jak tu pięknie.

Po dłuższej chwili jazdy w głąb łądu Gabe zatrzymał się na poboczu przy food trucku w kolorach tęczy, reklamującego swoją kawę i donuty. Zamienił kilka słów z właścicielem, pożegnał się nieznanym mi gestem ręki i wrócił z dwoma kubkami i papierową torbą. Po jeepie rozszedł się aromat czekolady.

– Częstuj się! – Podsunął mi torbę.

– Dziękci, ale na razie zostaną przy kawie – odparłam z uprzejmym uśmiechem. Żołądek na pewno nie miałby nic przeciwko porcji tłuszczu i cukru, ale plan żywieniowy nie przewidywał zniesienia restrykcji zaraz pierwszego dnia. Zadowoliliam się więc dużym łykiem kawy. Była gorąca i mocna, dokładnie taka, jak lubiłam.

– Jak się mają twoi rodzice? – spytał Gabe, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę. – Poznałem ich, kiedy byli tu z wizytą. – Dostrzegł moje zaskoczone spojrzenie. – Julie... Moja żona była wielką fanką twojej mamy. Miała nawet te jej buty. Z koroną.

Mignęło mi wspomnienie Adidas Duchess, białe buty tenisowe z trzema złotymi paskami i błyszczącą koroną. Adidas wprowadził je na rynek, nawiązując do nazwiska matki po tym, jak wygrała Wimbledon po raz drugi. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że Gabe użył czasu przeszłego, a w jego głosie słychać było melancholię. Ścisnęło mnie w żołądku.

– Przykro mi z powodu twojej żony – wymamrotałam.

– Och, Julie nie... Ona zwyczajnie... odeszła.

Ostatnie słowa wypowiedział ledwie słyszalnie, ale ból, który im towarzyszył, był głośny. Próbowałam sobie przypomnieć, ile czasu minęło od wakacji moich rodziców na Hawajach. Kiedy odwiedzili Kay w jej ojczyźnie z wyboru? Dwa lata temu? Gabe nie mógł być długo sam. Przemawiał za tym również fakt, że wciąż nazywał ją swoją żoną.

– Rodzice mają się dobrze – odpowiedziałam na jego pierwotne pytanie, mając nadzieję, że uda mi się znów skierować

rozmowę na bezpieczne tory. – Mama cieszy się życiem z dala od zgiełku kortów, a tata dużo podróżuje dla ESPN. – Przyszła mi do głowy pewna myśl. – Powinnam do nich napisać, żeby wiedzieli, że wyłąkowałam. – Wyjęłam pospiesznie smartfona i w końcu aktywowałam eSIM. Wkrótce po wysłaniu wiadomości minęliśmy drewniany znak z surferem na fali i nazwą miasta: Hale’iwa. Przejechaliśmy Main Street, wzdłuż której stały jeden przy drugim drewniane domy w pastelowych kolorach. Delikatne podmuchy wiatru poruszały palmami na poboczu ulicy. Turyści snuli się z torbami ze sklepów z pamiątkami, stali w kolejce po lody lub jedli śniadanie w kawiarnianych ogródkach. Opaleni surferzy wyładowywali deski z przyczep. Kilka osób przemknęło obok nas na hulajnogach i rowerach, wiatr suszył ich mokre włosy. Zupełnie, jakby na tych kilku metrach kwadratowych zebrano wszystkie stereotypy dotyczące Hawajów.

– Wieczorami zawsze coś się tu dzieje, gdybyś chciała wyrwać się od Kay.

Uśmiechnęłam się, mimo że przy obecnym pensum treningowym trudno mi było wyobrazić sobie coś innego niż padanie na twarz ze zmęczenia.

Między Hale’iwa i Pūpūkea mijaliśmy piaszczyste plaże, które były tak białe, że aż oślepiały. Ocean mienił się turkusowym błękitem i był już pełen surferów leżących na deskach w oczekiwaniu na idealną falę. Po mojej lewej w regularnych odstępach wznosiły się luksusowe wille przy plaży. Na prawo od nadmorskiej drogi rozciągał się gęsty las, przechodzący w ciemnozielone, surowe pasma górskie.

W końcu Gabe włączył kierunkowskaz i podjechał przed bramę z wyrzeźbionym motywem tropikalnych kwiatów. Opuścił szybę, wychylił się nieco i wstukał kod. Rozległ się sygnał dźwiękowy i brama się otworzyła, ukazując wypielegnowany podjazd.

Droga do domu – dwupiętrowego budynku z pomalowanego na gołębi błękit drewna – wiodła wśród palm, kwitnących krzewów i trawnika, który zachwyciłby każdego angielskiego ogrodnika. Drzwi i ramy okienne były białe, a płaski dach wykonano z materiału przypominającego liście palmowe. Obok stał garaż, który był miniaturową wersją domu. Wiedziałam, że był tam taras z basenem wychodzący na ocean oraz schody, które prowadziły bezpośrednio na plażę. Mama pokazała mi zdjęcia, kiedy zastanawiałam się jeszcze nad jej propozycją. Zupełnie jakby jej oświadczenie „Twój dom. Twój basen. Twój ocean” ostatecznie przekonało mnie do tego, żeby przez sześć tygodni przed planowanym powrotem na światowe korty trenować w szkole tenisowej Kay na hawajskiej wyspie O’ahu.

– No to jesteście – odezwał się Gabe, parkując przed wejściem.

Podczas gdy obserwowałam zamykającą się bramę w lusterku wstecznym, on już wysiadł, aby wypakować moje bagaże.

– Nie musisz nosić moich rzeczy – zaproponowałam bezskutecznie, gdy z przerzuconą przez ramię torbą tenisową zaczął wnosić moją walizkę po schodach. Zauważyłam przy okazji, że również na tyłce miał duże tatuaże. Czarne wzory przypominające fale. Postawił walizkę przed frontowymi drzwiami i wpisał kolejny kod. Przemknęło mi przez głowę, czy byli blisko z Kay. O ile wiedziałam, w jej życiu nie było żadnego mężczyzny, ale może nie miałam najświeższych informacji? Łatwość, z jaką posługiwał się kodami i fakt, że znał je wszystkie na pamięć, sugerowały, że był tu stałym bywalcem.

Odsunął okulary przeciwsłoneczne na włosy.

– Kay powinna niedługo wrócić, ale mogę pokazać ci dom.

Moje podejrzania się umocniły.

– Nie ma potrzeby – odparłam, ponieważ byłam pewna, że Gabe ma lepsze rzeczy do roboty niż niańczenie mnie. – Zacznę się rozpakowywać.

– Wiesz, gdzie jest pokój gościnny?

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem.

– Nie.

– Na pierwszym piętrze. Ostatni pokój po prawej.

Mój wewnętrzny detektyw poczuł się wreszcie usprawiedliwiony.

– Rozumiem.

– Rozgość się więc. – Mrugnął do mnie. – Widzimy się jutro na rehabilitacji.

Skinęłam głową.

– Dzięki, że mnie odebrałeś.

Schodząc, wyprostował kciuk i mały palec i pokręcił dłonią. Zanim zdążyłam zapytać, co ten gest znaczy, zniknął już w swoim jenie. Poczekalam, aż brama się zamknie i weszłam do domu Kay. Poczułam na policzkach powietrze przyjemnie schłodzone przez klimatyzację. Miało ładny zapach, kwiatów albo odświezacza do pomieszczeń. Zsunęłam sneakersy, skarpetki i rozkoszowałam się chłodną podłogą pod spoconymi stopami. Była z ciemnego, twardego drewna i pięknie kontrastowała z wnętrzem otwartego salonu z jadalnią. Białe meble, plecione abażury i dywany z naturalnego włókna. Dekoracji było niewiele. Nowoczesna drewniana rzeźba, stosik coffee table books i kilka oprawionych zdjęć. Inaczej niż u nas w domu, nie uwieczniono na nich młodej pary, pierwszego dnia w szkole czy rodzinnych wakacji, lecz młodą Afroamerykankę wygrywającą swój pierwszy Wimbledon, kobietę dumnie pokazującą do obiektywu srebrny medal olimpijski i podejmowaną przez Michelle Obamę w Gabinetach Ovalnym. W przeciwieństwie do mojej matki Kay po zakończeniu kariery tenisowej nie założyła rodziny. Pracowała natomiast dla WTA, Women's Tennis Association, utworzyła fundację promującą młode talenty tenisowe i szefowała turniejowi San Diego Open. Wytrenowała zawodniczkę, która weszła do pierwszej dwudziestki w światowym

rankingu, potem napisała autobiografię *In Tennis Love Means Zero*, która trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa” i stała się tematem fragmentu filmu dokumentalnego Netfliksa. I wreszcie kilka lat temu kupiła willę przy plaży na wyspie O’ahu, a w bezpośrednim sąsiedztwie otworzyła Diamond School of Tennis, gdzie przez kolejne sześć tygodni będę się przygotowywać do powrotu do gry.

Obchodząc dom, zajrzałam do kuchni. Błyszczące, lakierowane fronty konkurowały ze stalą nierdzewną lodówki, na blacie stała misa z idealnymi bananami. Na prawo ode mnie znajdowały się schody prowadzące na pierwsze piętro. Na ciemnych deskach leżał pleciony chodnik, który amortyzował moje kroki. Doszłam do końca korytarza i otworzyłam drzwi. Początkowo myślałam, że Gabe się pomylił. Pokój był ogromny, co najmniej dwa razy większy niż mój w Monachium. Urządzono go w tym samym stylu, co resztę domu, w gołęmb błękitach i bieli, z naturalnych materiałów i drewna. Otwarte drzwi przesuwne prowadziły do garderoby, inne do przestronnej łazienki z wanną, w której dałoby się surfować. Najlepszy był jednak balkon z widokiem na ocean. Właśnie miałam otworzyć drzwi, kiedy usłyszałam hałas dobiegający z parteru.

– Lou?

Pospiesznie zbiegłam na dół, gdzie Kay przywitała mnie szerokim uśmiechem.

– Lou! – Przytuliła mnie serdecznie, po czym cofnęła się o krok i mi się przyjrzała. – Dobrze wyglądasz.

– Ty też.

Choć mogło to zabrzmieć jak kurtuazyjna uprzejmość, powiedziałam to szczerze. Kay mierzyła metr dziewięćdziesiąt i miała szczupłą, sportową figurę – zawsze wyglądała zjawiskowo. Jednak zamiłowanie do mody odkryła dopiero po zakończeniu kariery.

Dziś miała na sobie żółte szorty i białą bluzkę bez rękawów. Naturalnie kręcone, sięgające ramion włosy miała rozpuszczone, inaczej niż wcześniej na korcie, gdzie pokazywała się wyłącznie z warkoczycami cornrow.

– Tak mi przykro, że nie mogłam odebrać cię z lotniska – westchnęła. – Dzisiejszy poranek nie należał do najłatwiejszych.

– Co się stało?

– Ach! – Machnęła ręką. – Opowiem ci później w spokoju. Najpierw się rozgość, rozpakuj i... – Rozejrzała się wokół. – A gdzie twoje bagaże?

– Na górze, w pokoju gościnnym. Gabe mi go pokazał.

Wzruszyła ramionami.

– Tym lepiej. Mam nadzieję, że ci się podoba?

Spojrzeniem dałam jej do zrozumienia, że nie traktuję tego pytania poważnie.

– Jest niesamowity. Zwłaszcza widok!

– Byłaś już na tarasie? – wskazała kciukiem na lewo i mrugnęła do mnie. – Ten widok też jest niczego sobie.